

Auringon pimeä puoli (The Darkside of the Sun)

Marisha Rasi-Koskinen

Próbka powstała w ramach programu mentoringowego FILI

Tłumaczenie: Aleksandra Wróblewska

Mentor: Edyta Jurkiewicz-Rohrbacher

1.

Kiedy myślę o Kopalni Victorii, mam przed oczami drogę. We wspomnieniach patrzę na nią z góry. Zwykle siadałam na dachu pobliskiego bloku i czekałam, aż mój przyjaciel Mitek wróci ze szkoły. Do Kopalni prowadziła czteropasmowa droga szybkiego ruchu. Ale zamiast ciągnąć się setki kilometrów przez południową i środkową część kraju, tak jak typowe ekspresówki, ta zaczynała się w pobliskim miasteczku przemysłowym i kończyła w ogromnym, wykutym w skale tunelu, zaledwie kilkadziesiąt kilometrów dalej. Zupełnie jakby zderzała się z czymś i niespodziewanie kończyła w połowie. Kiedy zamknę oczy, niemal widzę, jak gdzieś daleko pod zwisającymi z krawędzi dachu trampkami droga znika między skałami. W powietrzu unosi się zapach asfaltu, benzyny i gorzkiego dymu. Słysząc, jak opony ciężkich pojazdów najeżdżają na pasy akustyczne. Nocą odgłosy ruchu ulicznego cichną, ale nadal dociera do nas huk robót pod ziemią. Stłumiony dźwięk słyszalny jest w każdym pomieszczeniu każdego mieszkania, jakby skała brała wdech i wydech, a jej serce biło rytmicznie o kamienne ściany. To dźwięk, który słyszeliśmy zawsze, nawet przez sen. Byliśmy do niego tak przyzwyczajeni, że gdy pewnego ranka ustał, obudziliśmy się, oddychając w tej ciszy i przez moment nie wiedzieliśmy, gdzie jesteśmy.

Mam na imię Emilia. Oto moja wersja wydarzeń, które miały miejsce w kopalni. Nie mam na myśli tylko Kopalni Victorii – odizolowanego małego miasteczka wybudowanego na wysokiej skale, ale również jego drugą, podziemną część, wypełnioną szybami, korytarzami i głęboką pustką.

Moja historia różni się od tych, które można przeczytać w gazetach czy kronikach. Nigdy nie ma tylko jednej prawdy. W zależności od obserwatora wydarzeń, może mieć ona inne oblicza. Zupełnie jak oświetlone okno, które z wnętrza domu wygląda inaczej, niż gdy przyjrzymy mu się z zewnątrz. Czytając tę opowieść, pamiętaj, że światło może padać pod wieloma kątami.

Ta historia nie ma początku ani końca. Moje życie zmieniło się jednak nieodwracalnie tamtego lata, kiedy pierwszy raz wyruszyłam w otchłanie kopalni. Miałam wtedy szesnaście lat i właściwie od tego mogłabym zacząć.

3.

Miejsce, do którego przyprowadził mnie dziadek wydawało mi się zwykłą szopą ukrytą w krzakach na końcu przydomowego ogródka. Wyglądała trochę jak oślizgły głaz, z którego zbieraliśmy jako dzieci z Mitkiem ślimaki i wilgotny mech. Robiliśmy w gąszczu tunele, żeby wczołgiwać się z boku fundamentu pod budę i sprzecaliśmy, które pójdzie jako pierwsze, łapiąc przy tym rzepy łopianu we włosy. Lubiłam te chaszczę, mimo że w cieniu między blokami było wilgotno.

Szopa była zaryglowana, a okna zasłonięte od środka falistą fakturą. Wyłamanie kłódki i otwarcie drzwi zajęło dziadkowi dobrą chwilę. Zawiasy zaskrzypiały, aż zadudniło w uszach.

– Dlaczego nie użyłeś po prostu klucza? – zapytałam z lekkim zdziwieniem.

– Nigdzie nie mogłem go znaleźć – odpowiedział dziadek. – Gdzieś się zawieruszył. Spojrzał na mnie i uśmiechnął się swoim dziadkowym uśmiechem. – Może wpadł do mysiej dziury.

Oczywiście. Mysia dziura w domu, w którym nie ma myszy.

W pokoju panowała zupełna ciemność. Dziadek włączył latarkę, która oświetliła pasiaste zasłony, mały stolik i przykrytą bordowym kocem rozkładaną kanapę. W snopie rzucanego przez latarkę światła błyszczały poszarzałe przedzie narzuty, a w kurzu widoczne były jasne smugi. Z sufitu zwiisała na cienkim kablu staromodna lampa ledowa, której mocowanie odczepiło się. Dziadek stuknął w nią palcem wskazującym.

– Był tutaj kiedyś sprawny panel słoneczny – powiedział, pstrykając przełącznik kilka razy, ale bez rezultatów. – Doprowadzał do pokoju światło i odrobinę ciepła.

– Co to za miejsce? – zapytałam.

– Czyżbym zapomniał ci powiedzieć? – dziadek potrząsnął głową ze zdumienia. – Alisa nazywała to miejsce domkiem letnim. Sprzątała go każdej wiosny, spędzała tutaj czas i spała, kiedy tylko noce były wystarczająco ciepłe.

Rozejrzałam się w ciemności.

– To naprawdę należało do mamy?

Dziadek przytaknął.

Nie miałam zbyt wielu pamiątek po mamie. Próbowałam szukać jej śladów, ale i tak niewiele udało mi się znaleźć. Wetkniętą między deski w podłodze spinkę do włosów, gumkę do zmywania czy obgryziony ołówek. Postrzępione arkusze papieru pełne starannie zrobionych oznaczeń stolic i gatunków ptaków. Nic na ich podstawie nie można było o niej powiedzieć. Wrzuciłam wszystko do kartonowego pudełka, które schowałam po łóżkiem i więcej do niego nie zaglądałam. Jedynymi śladami po mamie było kilka fotografii wiszących na ścianie przy krawędzi kominka. Oraz ja.

– Dlaczego pokój był zaryglowany?

– Ja go zamknąłem. Chociaż tyle chciałem zachować.

Słyszałam, co stało się po śmierci mamy. Opowiedziała mi o tym Miima, która była moją chrzestną i przyjaciółką mamy, a tym samym jedyną osobą spoza rodziny, która pamiętała tamte czasy. Widziałam przed oczami, jak babcia wyrzuca wszystkie rzeczy. Otwiera szafę, zgarnia ubrania, pakuje je razem z wieszakami do czarnych worków na śmieci, upycha do tych samych worków zawartość komody i wszystko, co znalazła w szafie i na wieszakach w przedpokoju. Buty i kurtki, skarpetki i bieliznę. Podręczniki szkolne. Listy. Komputer. Zniszczyła go, ponieważ nie mogła dostać się do plików. Wszystkie teksty i zdjęcia. W pewnym sensie całkowicie pozbyła się mamy.

– To był jej sposób na przetrwanie – powiedział dziadek.

Chciał, żebym zrozumiała, że po śmierci dziecka nigdy nie dochodzi się do siebie. Rana w sercu jest tak ogromna, a blizna po niej pozostaje na zawsze. Nieważne, jak starannie próbowałbyś ją załatać. Tak właśnie przeżyła to babcia. Chciała zapomnieć o mamie i zacząć od nowa. Wynagrodzić sobie tę stratę. Wydaje mi się, że właśnie tutaj popełniła błąd. Ja z pewnością nie mogłam zastąpić mamy. Kiedy podrosłam, tylko odrobinę ją przypominałam. Na tych nielicznych znanych mi zdjęciach mama miała ciemnoniebieskie oczy i kręcone włosy w odcieniu ciemnego blondu. Ja z kolei miałam oczy jasne i praktycznie bezbarwne włosy. Moja skóra spalała się szybko na słońcu, a na nadgarstkach zawsze przebijały się niebieskie żyły. Nic dziwnego, że babcia nie znosiła na mnie patrzeć. Czułam to w kościach. Tak samo jak dzieci wiedzą o rzeczach, które dorośli próbują przed nimi ukryć.

Były też inne sposoby wyrażania żalu. Na przykład ten dziadka. Jestem pewna, że nigdy by mnie nie porzucił, chociaż miał już swoje lata. Nie był za stary, żeby być dziadkiem, ale na

pewno, aby zastąpić rodzica. Miał na czole głębokie, poprzeczne i podłużne zmarszczki. Rzadko się uśmiechał, a nawet jeśli, w jego uśmiechu było coś bolesnego, zupełnie jakby skóra na twarzy musiała znaleźć nowe położenie i wyginała się tak niezgrabnie, że sprawiało to cierpienie. Miał tylko sześćdziesiąt pięć lat, ale wyglądał na dużo starszego. Stanowił prawdziwy przykład, że troski życia odbijają się na twarzy człowieka. Gdy tamtego dnia patrzyłam na niego, pierwszy raz pomyślałam, że mogłabym go stracić.

Dziadek omiół latarką ściany, na których widniały smugi kurzu.

– Nic tu więcej nie ma – powiedział. – Wydawało mi się, że domek będzie bardziej zabałaganiony, żywszy. Twoja mama miała problem z utrzymaniem porządku.

Podał mi latarkę. Pełniący funkcję schodka pieniek wywrócił się, więc trzeba było wysoko podnieść nogę, żeby dostać się do środka.

– Rozejrzyj się tu. Może znajdziesz coś na pamiątkę.

Dziadek spoglądał na pustkę pokoju, sprawiając wrażenie, jakby sam nie wierzył własnym słowom. Podał mi pęk plastikowych reklamówek.

– Resztę możesz wyrzucić, domek i tak trzeba opróżnić przed przeprowadzką.

– Naprawdę nie chcesz tego zrobić osobiście? – zapytałam.

Dziadek potrząsnął przecząco głową.

– Wystarczy mi to, co mam tutaj – powiedział, stukając palcem o skroń. – Wystarczyło mi to wcześniej i teraz też wystarczy – roześmiał się. – Myślałem, że ten pokój zachowa też wspomnienia, ale równie dobrze mógłbym stworzyć tutaj mauzoleum.

Gdy zostałam sama, odsunęłam tekturę z okna, żeby wpuścić do środka blade światło. Szyby były tak brudne, że trudno było cokolwiek przez nie zobaczyć. Reszta pokoju była jednak czysta. Pod oknem stała mała komoda – żaden antyk, ot, masywny, drewniany mebel, z którego zaczął już schodzić lakier. Na stole i półce leżała jakaś ozdobna figurka, kilka długopisów reklamowych z miasteczka robotniczego i zasilane baterią słoneczną radio, które już lata temu przestało grać. Ze ściany zwisały dwa wyblakłe plakaty – na pierwszym koń, a na drugim dawno zapomniany zespół. W szufladzie stołu leżał zeszyt. W pierwszej chwili pomyślałam, że znalazłam coś ważnego, ale okazało się, że to tylko okładka, a wszystkie strony zostały starannie wyrwane, jedna po drugiej. Gdy ją pogładziłam, wręcz czułam pod palcami ślady pisania. Zajrzałam pod kanapę, ale natrafiłam wyłącznie na parę papierków po cukierkach,

skarpetkę bez pary i pompkę do roweru. Przyłożyłam poduszkę do twarzy, ale niczego nie poczułam. Od kurzu tylko zaczęłam kichać. Kurz i cisza, to wszystko co zostało po mamie.

W uszach zabrzmiał głos Mitka. *Nudna jesteś, nic cię nie ekscytuje.* Wyobraziłam sobie, jak Mitek z błyskiem podniecenia w oczach i lupą w ręce podnosi nic nieznaczące przedmioty i określa ich wiek czy okres połowicznego rozpadu.

– Sam jesteś nudny – powiedziałam na głos. Rozejrzałam się szybko dookoła, jakbym się bała, że ktoś usłyszy, że rozmawiam sama ze sobą.

Usiadłam przy stole i wlepiłam wzrok w krzaki za oknem. Gdyby mama żyła, miałyby teraz trzydzieści trzy lata – dużo mniej niż mama Mitka czy jakakolwiek inna mama, którą znam. Moja zmarła bardzo młodo, mając zaledwie siedemnaście lat. Za rok sama będę w jej wieku, a później starsza niż ona kiedykolwiek była. Zapiekły mnie oczy. Sama już nie wiedziałam, co i jak opłakiwać.

Chciałabyś ją poznać? Głos Miimy zadzwieczał mi w głowie.

– Jasne, że tak.

Znowu mówiłam do siebie.

Nie mam pojęcia, jak długo siedziałam tak nieruchomo. Ocknęłam się dopiero, gdy usłyszałam dziadka przycinającego nożycami ogrodniczymi maliniak. Wstałam i zaczęłam zbierać rzeczy do plastikowych worków. Odsunęłam narzutę i upchnęłam ją do worka na śmieci. To samo zrobiłam z kołdrą i prześcieradłem.

Teraz skup się, drogi czytelniku. Kiedy podniosłam materac, żeby ściągnąć prześcieradło, zobaczyłam mały, biały trójkąt odcinający się jasno od materaca. Gdy go dotknęłam, okazało się, że to kawałek papieru. Wyciągnęłam go ostrożnie ze szczeliny pomiędzy materacem, a stelażem łóżka, obróciłam w stronę światła i przyjrzałam się mu.

– Niemożliwe – powiedziałam sama do siebie.

Straciłam czucie w nogach. Padłam na podłogę i popatrzyłam na obrazek jeszcze raz. Rysunek przedstawiał twarz dziewczyny mniej więcej w moim wieku. Ślady długopisu idealnie odzwierciedlały rzeczywistość, zupełnie jak na fotografii. Dziewczyna wyglądała tak prawdziwie, jakby w każdej chwili miała się odwrócić, powędrować w lewo i zniknąć, jak to mają w zwyczaju odbicia, gdy odchodzimy sprzed lustra. Dziewczyna miała jasne włosy i jasne oczy. Wyglądała odrobinę smutno, mimo że się uśmiechała. Smutne oczy na wesołej twarzy.

Rysunek przedstawiał mnie.

4.

Dziadek nauczył mnie, że każdy sam kreuje swój świat. Czasami bywa tak, że rzeczywistość pochłania opowieści. Wtedy trudno jest zachować nawet własne korzenie. Jeśli źródła historyczne są zmieniane, zmieniają się też opowieści. A gdy opowieści się zmieniają, zmieniają się także wspomnienia. Język może być też jak ściśnięte gardło – nie ma w nim już miejsca na słowa, które opisują istotne spawy. Trudno myśleć o czymś bez nazwy. Tym bardziej ważne jest zachowanie tego, co własne. Są miejsca, do których lepiej się nie przyzwyczajać. Właśnie takim miejscem była Kopalnia Victorii.

Na temat śmierci mamy słyszałam dwie różne wersje wydarzeń. I nie mam tu na myśli plotek rozpowszechnianych w mieście. Opowieść o obcych, którzy dotarli do Kopalni Victorii i próbowali ją zniszczyć. O dziewczynie, która wkroczyła do tunelu i utopiła się, mimo że nie było tam wody. O chłopaku, który zniknął, chociaż w ogóle nie istniał. O zmarłej, która wzywała do siebie pomocy. O pomalowanych na biało liniach, które pojawiły się ponownie przy wylocie korytarza kopalni. Jeśli Wybrańcy coś posiadali, to były to na pewno opowieści. Miasteczko było niewyczerpanym źródłem plotek i nowych historii. Te stare topiły się jak w piecu. Być może wynikało to z faktu, że miasto nie miało własnej historii. Mieszkańcy przybyli z przeróżnych miejsc, nikt nie miał tutaj dziadków czy dalekich krewnych. Nikt nie mógł powiedzieć o sobie: Stąd pochodzę. Oprócz domu dziadka i jaskiń pod skałami wszystkie budynki były nowe.

Historię śmierci mamy słyszałam od dziadka i od Miimy. Obydwoje zgadzali się, co powinnam wiedzieć, a czego nie. Usłyszane od nich wersje były od siebie różne, dlatego też obie uważałam za prawdziwe. Wyszłam z założenia, że to na pewno był dla nich niesamowicie trudny czas i dlatego pozwalałam im mówić to, co może ich pocieszyć. Być może, mój Czytelniku, masz mnie za nieczułą osobę, ale tak wcale nie jest. Posiadam mechanizm obronny w kwestii przeszłości, który przejawia się w takich momentach jak ten.

Wersje dziadka i Miimy coś łączyło. Twierdzili, że mama zmarła tej samej nocy, której ja się urodziłam. Dziadek mówił, że umarła podczas porodu, a ja sama byłam o włos od śmierci.

Komplikacje, niedotlenienie, inkubator, nieprzespane noce spędzone na cichym korytarzu szpitalnym. Mniej niż półtora kilo i 35 cm, taka przyszłam na ten świat. Miałam urodzić się pod koniec wiosny, ale pojawiłam się tutaj jeszcze zanim skończyła się zima. O kilka miesięcy za wcześnie. Widziałam zdjęcia samej siebie zaraz po urodzeniu. Ciężko uwierzyć, jak taka wątła istota mogła pozostać przy życiu. Byłam małym i wytrwałym cudem ze swoimi miniaturowymi paluszkami i paznokciami niczym główki od szpilek.

– Zabiłam mamę – powiedziałam Miimie.

– Nie gadaj głupot – odpowiedziała. – Śmierć matki nigdy nie jest winą dziecka.

Słuchając opowieści dziadka, nigdy nie odważyłam się mówić o mamie w ten sposób. Zasmuciłoby go to jeszcze bardziej.

– Może dlatego, że to prawda.

– Skończ już.

Pierwsze miesiące życia spędziłam w szpitalu. Dziadkowie obawiali się, że mogę nie przeżyć albo nawet jeśli przeżyję, to coś ze mną będzie nie tak. Gdy zapytałam o powód śmierci mamy, czy miała jakieś urazy, choroby genetyczne, którymi można by było się martwić, dziadek przecząco kręcił głową. Kto by to wiedział, śmierć może nadejść nawet gdy człowiek jest w świetnej formie. A może to był błąd lekarski? Co z wnioskiem o odszkodowanie i skargą do Rzecznika Praw Pacjenta? To bez znaczenia, odpowiedział dziadek, nic już nie przywróci Alisie życia. Nie należał do osób, które szukają winowajców, aby złagodzić własne cierpienie. Powtarzał tylko, że najważniejsze, że wszystko ze mną w porządku. To prawda, że byłam cichym dzieckiem. Do ukończenia trzeciego roku życia nie odezwałam się ani słowem. Nawet jeśli spędzało to dziadkowi sen z powiek, nigdy nie mówił głośno o swoich zmartwieniach. Uważał, że każdy człowiek zasługuje na czas, w którym jest cicho – przed wypowiedzeniem pierwszych słów w życiu i po ostatnich. Tak jak było z babcią.

Gdy nabrałam wystarczająco siły, dziadkowie zabrali mnie w nosidełku do domu.

– No a wypadek?

– Jaki wypadek?

Dziadek niechętnie opowiadał o wypadku. Szczerze mówiąc nie wspominał o nim nigdy w nawiązaniu do śmierci mamy. Dla dziadka wypadek był tym, co wydarzyło się w starej kopalni, na długo przed narodzinami mamy. Nie miał on z Alisą nic wspólnego, no może oprócz tego, że dziadek musiał się przekwalifikować z górnika na stolarza. Śmierć mamy była jego osobistą tragedią. Plotkarze z Kopalni dopowiedzieli sobie resztę.

– Dlaczego dziadek mnie okłamuje? – zapytałam Miimę.

– Nie okłamuje – odpowiedziała. – Wszystko, co od niego usłyszałaś, jest w zasadzie prawdą.

– W zasadzie prawdą.

– No tak, po prostu o pewnych rzeczach ci nie mówi.

– Dlaczego nie? – dopytywałam.

– Pewnie ma swoje powody. Myślę, że chroni cię w ten sposób, żeby ci jakieś głupie myśli do głowy nie wpadły. Niepokoi się, że zaczniesz dochodzić, dlaczego twoja mama umarła czy coś w tym stylu. Alisa należała do osób, które nie odpuszczają, jak coś sobie postanowią, nie ważne jak szalony pomysł przyszedłby na myśl. Dziadek boi się, że tobie również może się coś przytrafić.

No i tu jest pies pogrzebany. Dorośli często chronią dzieci przed tym, czego sami się obawiają. Nie przed bólem czy przemocą, tak jak powinni, ale przed faktem, że ból i przemoc istnieją, ludzie i zwierzęta cierpią z ich powodu. Że na świecie są wojny, nie ma równości, a jeśli coś jest tanie, to dlatego, że gdzieś daleko ktoś pracuje za półdarmo. W ten sposób dorośli chronią bardziej siebie samych, nie tyle przed innymi, a przed rozczarowaniem związanym z utratą tej niewinności. Dzieci jednak i tak się dowiedzą. W ten czy inny sposób świat odsłoni swoje oblicze, a wtedy to wszystko zrani je jeszcze bardziej.

Miima opowiedziała mi inną wersję na temat śmierci mamy. Wszystko to, co dziadek powiedział o pierwszych tygodniach w szpitalu pokrywało się z opowieścią Miimy. A jednak, gdy zapytałam, czy bała się, że mogę umrzeć, potrząsnęła przecząco głową.

– W tamtym momencie byłam pewna, że przetrwasz wszystko.

Dziadek i babcia obawiali się o moje życie. Miima widywała ich siedzących na korytarzu szpitala i liczących najpierw godziny, potem dni, aż w końcu tygodnie. Opowiedziała mi o tym,

że dziadek wyglądał jak staruszek, czekając na wiadomość od lekarzy. W przeciągu kilku tygodni zestarzał się o co najmniej dekadę.

– On cię kocha nad życie – powiedziała Miima.

– Ale rozpacza po śmierci mamy? – zapytałam.

– Oczywiście, że tak. Z pewnością jednak wypełniłaś chociaż część tej straty.

– A co z babcią? Ona inaczej to przeżyła? – dopytywałam.

– Tak, zupełnie inaczej.

Mama nie zmarła przy porodzie – to był najistotniejszy punkt w wersji Miimy. Została ranna w wypadku i umarła zanim jeszcze trafiła do szpitala. Nie oddychała tak długo, że mimo bijącego jeszcze serca, było już za późno. Jej płuca wypełnione były wodą, a brak tlenu doprowadził do uszkodzenia mózgu. Nikt nie wiedział, jak do tego doszło. W dniu wypadku ktoś spacerował korytem rzeki, ale nie widział tam mamy. Znalaziono ją przy wyjściu szybu kopalnianego, a co najdziwniejsze dookoła leżał świeży śnieg. Obecnie w Kopalni nigdy nie ma śniegu. Jeśli nawet pada, to topnieje w jednej sekundzie, jakby z wnętrza skały pulsowało ciepło.

Zostałam uratowana przez cesarskie cięcie, a mama umarła nie zobaczywszy mnie ani razu.

– Skąd ty to wiesz? – zapytałam Miimę.

– No przecież byłam przyjaciółką twojej mamy – odpowiedziała, nie patrząc mi jednak w oczy.

– A ty, nie boisz się, że coś głupiego przyjdzie mi do głowy? – dopytywałam.

Miima przyglądała mi się długo, zanim odpowiedziała.

– Boję się czegoś zupełnie innego, przed czym nie jestem w stanie cię ochronić.

Gdy zapytałam, co ma na myśli, machnęła ręką jakby od niechcenia. Właśnie tak się zachowywała, kiedy zaczynałam zadawać pytania.

– Mam na myśli na przykład kopalnię – powiedziała w końcu.

– Kopalnię Victorii?

– Nie do końca. To znaczy trochę też, ale przede wszystkim chodzi o starą kopalnię. Kopalnię przez małe „k”.

Kopalnia przez małe „k”. W ten sposób mieszkańcy rozróżniali w rozmowach starą kopalnię od wybudowanego na skale miasta Kopalnia Victorii. Albo raczej jej pozostałości. Zamknięte wejścia – te jeszcze istniejące oraz te, po których zostały tylko wspomnienia. Tu i tam w zaroślach kryły się zapomniane, niebezpieczne miejsca i szyby kopalniane. W dzieciństwie przypomniano Mitkowi i mi, że na to odludzie nie wolno się zapuszczać. Pełno tam było uszkodzonych włazów i miejsc, do których można wpaść, poślizgnąć się, utopić czy chociażby zranić o jakiś grat, który już dawno powinien zostać stamtąd usunięty. W Kopalni Victorii – dużą literą – plotkowano o zaginionych w kopalnianych tunelach dzieciach; wpadły tam i już nigdy się nie wydostały. Nie miało znaczenia, czy wzięły ze sobą komórkę, gdyż zasięg i tak nie docierał tak głęboko pod ziemię. Niektóre kanały wentylacyjne były jak studnie bez wody. Spomiędzy podgniłych desek wyzierała głęboka ciemność, w której zamiast wody szumiała tylko cisza. Jeśli do tej otchłani wpadł kamień, jego stuk o dno słyszalny był dopiero po kilku minutach.

Istniały też inne sprawy, przed którymi dziadek próbował mnie ochronić. Nie wspominał nigdy o moim ojcu. Tak naprawdę nikt nigdy o nim nie mówił, oprócz Miimy. Taty po prostu nie było, co jednak nie oznaczało, że po Kopalni Victorii nie krążyły o nim opowieści. Mój ojciec był zdrajcą. O tym opowiem jednak nieco później. Na ten moment, czytelniku, wystarczy wiedzieć, że jeśli ktoś opuścił Kopalnię, przestawał tym samym istnieć. O takiej osobie nigdy więcej nie rozmawiano, nie wspomniano, a jej imię popadało w zapomnienie. Dlatego tak naprawdę nikt nigdy nie odchodził z miasta. Wydaje mi się, że Wybrańcy nie udawali, że o kimś zapomnieli. Oni naprawdę zapominali.

Dziadek opowiedział mi kiedyś o ojcu tylko jedną rzecz. Miał na imię Kristian. Przybył do gminy z grupą pierwszych mieszkańców, gdy jego rodzice dostali pracę w miasteczku. Był rówieśnikiem mamy i ta dwójka pozostawała praktycznie nierozłączna. Nie widziano go jednak nigdy więcej po śmierci Alisy. Ot cała historia. Ojciec należał do tych, którzy opuścili miasto, a tym samym ślad po nich zaginął.

– On był bardzo młody – wyjaśnił dziadek. – Prawdopodobnie zapomniał o tobie i mamie.

– Skąd ta pewność?

– Żadna pewność, ale nigdy cię przecież nie odwiedził.

Chciałam wierzyć, że tata nie wrócił, bo zdrajcy nie mają już wstępu do Kopalni. W głębi duszy wiedziałam, że się mylę. Nikt z mojej rodziny nie należał do grupy Wybrańców, zatem przepisy obowiązujące w miasteczku nas nie dotyczyły. Jeśli tata chciałby mnie zobaczyć, z pewnością znalazłby na to sposób. Jak robiła to Miima.

– Nie martw się z jego powodu – powiedział dziadek, gdy zauważył moje zawiedzione spojrzenie. – Może było mu ciężko poradzić sobie z tak trudnymi sprawami.

Zaprzeczyłam, że mnie to martwi. Próbowałam nadać moim słowom ten sam chłodny ton, którym posługiwał się Mitek, gdy badał skorupki jajek w czasie sezonu ornitologicznego, ale wydaje mi się, że dziadek wyczuł fałsz. Nasze rozmowy zawsze tak wyglądały, gdy ich tematem była mama i jej śmierć: przerwy, niepewne odpowiedzi, a czasami ich brak. Gdy pytałam, czy rodzice taty nadal mieszkają w Kopalni, dziadek tylko wzruszał ramionami, zanim zdążyłam dokończyć zdanie. – Skąd ja miałbym to wiedzieć? – odpowiadał pytaniem na pytanie i kontynuował cięcie mebli czy cokolwiek innego, co w danej chwili z nimi robił.

Od Miimy dowiedziałam się nieco więcej. Na przykład, że tata miał potargane włosy i jasne oczy, takie jak moje. Był dosyć chudy, nie potrafił grać w piłkę i opowiadał dowcipy, które bawiły nie dlatego że były śmieszne, tylko dlatego, że Kristian był zawsze podekscytowany, kiedy je opowiadał. Miał poważne spojrzenie, a gdy mówił, nie wolno było mu przerywać. Denerwował się, gdy ktoś zaśmiał się w nieodpowiednim momencie.

– Tak naprawdę jego żarty były dla nas zbyt mądre – przyznała Miima. – Kristian wiedział bardzo dużo, dużo więcej niż my. Śmiechem zakrywaliśmy nasz wstyd, że ich nie rozumiemy.

Miima powiedziała, że gdy tata tak opowiadał, w jego oczach pojawiał się błysk.

– W twoich jest taki sam – przyznała.

– Kiedy? – zapytałam.

– Gdy się czymś ekscytujesz.

– Ale przecież ja nigdy niczym się nie ekscytuję – odpowiedziałam. Siedziałam sama w pustym pokoju mamy w przedostatnim dniu mojego życia i mówiłam sama do siebie.

Jeszcze poczujesz ekscytację. Wierz mi.

Miima również nie wiedziała, gdzie jest teraz mój tata. Zarzekała się, że nie widziała go, ani nie słyszała o nim nic od moich narodzin. Dosyć nieprawdopodobne w czasach, w których niemal po każdym zostają ślady w wirtualnym świecie. Mimo że ogólnosiwiatowa sieć internetowa, łącznie ze swoimi przeglądarkami i pocztą internetową nie działała w Kopalni, a próby wyjścia poza intranet były nie tyle zakazane, co naganne, to Miimy te ograniczenia nie dotyczyły. Mieszkała w mieście przemysłowym, które znajdowało się poza Kopalnią i wszystkimi jej obwodnicami.

Mitek oczywiście badał tę kwestię. Przedał się przez zarośla i wystarczająco oddalił od nadajnika, tak, że udało mu się połączyć ze światem. Ale pewnie był w tym odosobniony. No bo kogo z Wybrańców interesowałyby zanieczyszczenia, zniszczenia czy gniew, które czyhały na nich poza granicami miasta?

Gdy zapytałam Miimę, czy próbowała odnaleźć mojego ojca, przyznała, że tak.

– Możesz mi wierzyć, że próbowałam. A jak go znajdę, skręcę mu kark.

Po jej uśmiechu zgadłam, że nie mówiła tego na serio. Obiecała jednak, że kiedyś dowiem się więcej.

– Jestem pewna, że jeszcze go spotkasz. A gdy już do tego dojdzie, rozpoznasz go od razu – dodała.

Nie rozumiałam, skąd bierze się ta pewność Miimy. Często sprawiała wrażenie, że wie dużo więcej, niż wiedzieć powinna.

Gdy zapytałam, gdzie znaleziono mamę, Miima zabrała mnie na miejsce wypadku. Miałam wtedy nie więcej niż dziesięć lat. Nie było tam nic do oglądania, tylko zamurowane betonowymi pustakami wejście, na którym namalowano dwa krzyże. Szum przejeżdżających samochodów niemal całkowicie zagłuszało dudnienie podziemnych placów budowy. Krzyże błyszczały w słońcu jak dwa otwory, przez które spogląda się prosto w nicość i które wciągnęłyby w tę nicość rękę, jeśli tylko ktoś odważyłby się ich dotknąć. Kto powiedział, że pustka musi być czarna?

– Musisz zapamiętać to miejsce – powiedziała Miima. – Musisz wiedzieć, jak tu wejść i jak stąd wyjść. Nie możesz nigdy zapomnieć, gdzie znajduje się to miejsce.

– Dlaczego? – dociekałam.

– Dla siebie samej, Emilio, dla siebie samej.

– Przecież wejście jest zamurowane – dodałam.

– Pewnego dnia znów będzie otwarte.

Potałam palcem popękana powierzchnię krzyża.

– Kogo symbolizuje ten drugi krzyż? – zapytałam w końcu.

– Twoja mama nie była jedyną osobą, która zapuściła się w tunele kopalni – odpowiedziała Miima.

– Była tam z tatą?

– Nie. Spotkałam go po wypadku. Wiem, że opuścił miasto.

– To kim był ten drugi? – dopytywałam.

Miima westchnęła. Wyglądała na zmęczoną, a może zasmuconą? Przy odpowiedzi unikała mojego spojrzenia. – Dlaczego ci się wydaje, że ja wszystko wiem?

Oficjalne oświadczenie Kopalni Victorii w tej sprawie było jednoznaczne: nie było żadnego wypadku. Oficjalnie uznany wydarzył się głęboko pod ziemią czterdzieści lat temu. Dziadek był wtedy jeszcze młody, a zamiast miasteczka Kopalnia Victorii istniała tylko średniej wielkości, niezbyt lukratywna kopalnia niklu, wybudowana pośrodku niczego. Co jakiś czas krzyże zamalowywano, a za wandalizm nakładano dotkliwe kary. Mimo wszystko pojawiały się one na nowo, aż w końcu zostawiono je w spokoju. Z krzyżami było podobnie jak z innymi sprawami, które nie istniały: zapominano o nich.

– Nie należy wierzyć we wszystko, co usłyszysz – powiedziała Miima.

– Nie należy wierzyć we wszystko, co usłyszysz – powiedział też dziadek.

Choć oboje mieli co innego na myśli.

6.

Oryginalna kopalnia została zamknięta z powodu wypadku, który miał miejsce jeszcze przed narodzinami mamy. Dziadek miał wtedy dwadzieścia pięć lat. Przepracował w kopalni raptem rok czy dwa, gdy doszło do nieszczęścia. Nikt nie wiedział, skąd nadciągnęły masy wody. Zakład górniczy był w użytku dziesiątki lat i niczym się nie wyróżniał. Ot, przeciętna kopalnia niklu, nawet niespecjalnie dochodowa. Kopalnią złota to ona nie była, w żadnym znaczeniu tego słowa. Nie istniały żadne informacje o podziemnych warstwach wodonośnych, a przynajmniej o takich, które mogłyby spowodować zalanie. Mimo to wszystko wypełniło się wodą, tak jak wodą wypełnia się tonący statek. Wszystko działo się szybko, pod potężnym ciśnieniem, jakby kopalnia zatonała w wodzie. Nikt nie mógł zrozumieć przyczyny. Jeden z ocalałych powiedział, że wypadek miał miejsce podczas wiercenia, ale w miasteczku krążyły też inne wersje. Pracownicy kopalni nie dokopali się zbyt głęboko, jakieś kilkaset metrów, gdy znajdująca się przed nimi ściana runęła. Albo zniknęła. *Jej tam po prostu nie było*, opowiadał grupie reporterów telewizyjnych jeden z ocalałych.

Nikt nie mógł nic zrobić. Ofiar było przerażająco dużo. Na dodatek masy wody przedostały się przez wejścia do kopalni i kanałów wentylacyjnych, niszcząc wszystko, co napotkały na drodze. Zanieczyszczona woda ze sztucznych zbiorników trafiła do środowiska naturalnego i na lata zanieczyściła system wodny. Zbudowane na niżej położonych terenach domy runęły, a pozostały po nich gruz przemieszczał się jeszcze setki kilometrów. Tu i tam leżały martwe ryby. Trwał akurat upał, więc po kilku dniach smród był wręcz nie do opisania. Mówiono o jednej z największych katastrof ekologicznych w kraju na przestrzeni dekad.

Woda, która dostała się do kopalni nie była czysta, ale jednocześnie nikt nie potrafił wyjaśnić, co z nią właściwie było nie tak. Po wypadku zniknęła z zakładu tak samo niespodziewanie, jak się tam pojawiła. Jak gdyby otwarto niewidzialny ściek, który wciągnął masy wody do podziemnych rur.

– Nawet jeśli nie jest się przesądnym, w takich momentach można uwierzyć, że kopalnia ma własną wolę i rozum – stwierdził kiedyś dziadek.

Tylko część ofiar została odnaleziona, żywa lub martwa. Resztę woda zabrała ze sobą i uznano ich za zaginionych.

– A najdziwniejsze jest to – zaczął dziadek – że w kopalni uratowano mężczyznę, który wcale tam nie pracował. Gdy wyciągnięto go z jakiegoś dziwnego, przypominającego wahadłowiec ustrojstwa, był blady jak trup i nie mógł wydobyć z siebie ani słowa. Jednak, gdy ekipa ratunkowa dotarła na miejsce, gość już zniknął.

– Kto to był w takim razie? – zapytałam.

– Nigdy się nie dowiedzieliśmy – odpowiedział dziadek.

Do wiadomości publicznej podano, że wypadek mógł być działaniem celowym, ale nic nie wskazywało na akt terrorystyczny. Aby zapobiec podobnym szkodom w przyszłości, skupiono się na wyeliminowaniu zagrożeń związanych z działalnością kopalni.

– Czy ktoś to zrobił specjalnie? – dopytywałam.

– Nie sądzę. W tamtym czasie nie było u nas jeszcze terrorystów. Żyliśmy sobie, jak u pana Boga za piecem.

Decyzja o zawieszeniu działalności kopalni była jednogłośnie. Zamknięto ją, zakazano wstępu na teren wokół kopalni na ponad piętnaście lat. Wartość pozostałych domów wybudowanych w górze rzeki spadła. Dziadka nie było stać na sprzedaż lub przeprowadzkę do innego miejsca. Nawet jeśliby chciał. Został więc, żyjąc na obrzeżach nieczynnej kopalni, pośród częściowo zawałonych i opuszczonych domów. Oprócz niego mieszkało tutaj zaledwie kilka osób – część była nieugięta, a część została w akcji desperacji. Kiedy zastanawiam się, jak to mogło wyglądać, wyobrażam sobie opuszczoną wioskę na Dzikim Zachodzie, saloony i gałązki roznoszone przez wiatr po prerii.

Dziadek w czasie nauki na stolarza poznał babcię. Zamieszkali razem w żółtym domu i założyli własny zakład. Sześć lat po wypadku urodziła się Alisa, a dwadzieścia lat po wypadku dziadek otrzymał list, w którym poinformowano go o nowo powstającym osiedlu mieszkaniowym i poproszono o sprzedaż domu. To chyba jasne, że na to nie przystał.

7.

Następnej nocy Mitek nauczył mnie dwóch rzeczy na temat czasu. Pierwsza: czas jest czwartym wymiarem. Istnieje szerokość, długość i wysokość, ale oprócz nich jest jeszcze czas. Wszystkie cztery są potrzebne, żeby być we właściwym miejscu i o właściwym czasie. Druga: czas nie płynie, mimo że tak nam się wydaje. Czasoprzestrzeń jest przestrzenią czterowymiarową. Przyszłość istnieje tak samo jak przeszłość.

No dobra, ja też na początku nic z tego nie rozumiałam, ale powoli zaczęło do mnie docierać, w czym rzecz.

To była ostatnia noc mojego poprzedniego życia, choć jeszcze o tym nie wiedziałam. Leżałam rozwalona na kanapie w domku letnim i chyba przysnęłam, bo ze snu zbudził mnie trzask otwieranych drzwi. Panował mrok. Oślepiający błysk latarki sprawił, że zerwałam się gwałtownie z kanapy.

– Przepraszam – powiedział Mitek. – Nie chciałem cię wystraszyć. Przyszedłem obejrzyć rysunek.

– Mogłeś przecież zadzwonić – odpowiedziałam.

– Nie chciałem cię budzić.

Mitek odsłonił zasłony i do pokoju wpadło światło wczesnoletniej nocy.

– Gdzie on jest? – zapytał w końcu.

Wskazałam na szufladę. Mitek wziął rysunek i spojrzał na niego, a następnie skierował latarkę najpierw na szkic, a potem na mnie. Światło znowu mnie oślepiło i nie mogłam niczego zobaczyć.

– Przestań!

– To naprawdę ty – powiedział Mitek. – Nie ma żadnych wątpliwości. Rysownik był bardzo zdolny. Jeśli nie byłby naszkicowany ołówkiem, można by pomyśleć, że to zdjęcie – spojrzał znowu na mnie i uśmiechnął się. – Nawet włosy się zgadzają.

Miał na myśli przystrzyżony fragment nad moim lewym uchem – rezultat nieudanej próby fryzjerskiej przed lustrem w toalecie. Incydent miał miejsce kilka tygodni temu. Wycięty kawałek przypominał bardziej strzyżenie przed operacją mózgu niż zaplanowaną fryzurę. Próbowałam zakryć go kucykiem, ale ta fryzura sprawiła, że wyglądałam jeszcze dziwniej. Poczzerwieniałam ze złości, czego na szczęście w ciemności nie było widać.

– Nie musisz przypominać – powiedziałam.

Mitek znowu skierował latarkę na mnie.

– Ej serio, przestań już! – krzyknęłam i odepchnęłam jego rękę.

– Jest trochę dłuższy – powiedział Mitek i dotknął jeszcze raz mojej głowy. Ornitolog i skorupka jajka.

– Co?

– Na rysunku ten przystrzyżony fragment jest dłuższy niż teraz. Ale tylko trochę – dodał.

Wpatrywałam się w szkic i dotknęłam miejsca na mojej lewej skroni. Na szczęście włosy zaczęły już odrastać. Na rysunku były przynajmniej trzy centymetry dłuższe. Obraz był z przeszłości, ale zarazem przedstawiał moją niedaleką przyszłość. Tego nie dało się w żaden sposób wyjaśnić. Czułam, jakby ziemia się odrobinę zakotyssała i rozdarła tak, że na środku pokoju otworzyła się otchłań, w której zniknęło wszystko, co było mi znane. Łącznie ze mną.

– Boję się – powiedziałam w końcu.

– Nie ma czego – odpowiedział Mitek i wyciągnął z plecaka książkę. – Wydaje mi się, że musi być jakieś logiczne wyjaśnienie – spojrzał na mnie poważnie. – Twoja mama potrafiła przepowiadać przyszłość.

Wybuchnęłam śmiechem.

– I mówisz, że to jest logiczne wyjaśnienie?

Mitek mnie nie słuchał.

– Albo mógł to zrobić ktoś inny, choć prawdopodobnie twoja mama – dodał.

Chwyciłam latarkę i obróciłam ją na twarz Mitka. Jego kolej na oślepienie od światła.

– Ty, który zawsze chcesz wyjaśnić wszystko naukowo, mówisz mi teraz o przewidywaniu przyszłości? – zapytałam.

Mitek wzruszył ramionami.

– A czemu nie?

– Od kiedy to wierzysz w takie niestworzone rzeczy?

– A kto mówi, że niestworzone? – odpowiedział pytaniem na pytanie Mitek.

– Ty. Zaraz zaczniesz mi opowiadać o ufo i małych, zielonych ludzikach – odpowiedziałam.

Patrzył na mnie z podniesioną lewą brwią. Zawsze tak robił, gdy powiedziałam coś głupiego.

– Ufo nie ma nic wspólnego z ludzikami – zaczął. – Wyraz ten oznacza jakikolwiek latający obiekt, który nie jest nam znany. To może być chociażby wrona, na której dziobie znajduje się łyżka odbijająca promienie słoneczne – wyjaśnił.

Zrobiłam gest, żeby go walnąć i prawie trafiłam.

– Nie nabijaj się ze mnie. Wiesz przecież, o co mi chodzi.

Wskazał na latarkę.

– Weź ją i poświeć mi trochę – poprosił Mitek.

Skierowałam światło na stół, żeby Mitek miał obie ręce wolne. Otworzył książkę, którą ze sobą przyniósł.

– Co to za książka? – zapytałam.

– O tym, o czym mówiłem – odpowiedział Mitek.

Odwrócił na chwilę okładkę tak, żeby była widoczna. Książka była obdarta, wyrwane strony posklejane taśmą. Na szarym tle widniał matowo-złoty tytuł. *Na granicach fizyki*.

– Nie wygląda mi to na książkę, którą można znaleźć w miejscowej bibliotece – powiedziałam, spoglądając na tytuł.

Mitek pokręcił głową i zaczął ją kartkować.

– Nie. Znalazłem ją w domu.

Pomyślałam o rodzicach Mitka i ich biblioteczce. *Teksty zebrane z Kopalni Victorii* i porcelanowe figurki. Mitek zauważył mój wyraz twarzy.

– Pełniła rolę podpórki do stołu w moim pokoju – powiedział. – Znalazłem ją krótko po tym, jak nauczyłem się czytać.

Czyli jako czterolatek. Przypomniałam sobie ogromny stół w pokoju Mitka, na którym trzymał swoje szpargały. Był tak duży, że jeśli pełniłby rolę stołu jadalnego, mogłoby przy nim spokojnie jeść osiem, może nawet dziesięć osób. Nad stołem wisiała płytką z zapalek, na której widniał jego pseudonim. Mitek. Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek widziała tam tę książkę.

– I co, przeczytałeś ją? – zapytałam.

Podniósł znowu brwi.

– Oczywiście, że tak. Trzy razy od deski do deski i zaglądałem do niej nie raz. Tutaj jest wszystko. Teoretyczne koncepcje dla zjawisk, których jeszcze nie dowiedziono w praktyce – odpowiedział. Przekartkował książkę. – Trochę już minęło, odkąd przeczytałem ją po raz ostatni. Ciężko było znaleźć właściwy fragment. Tu jest – dodał.

– To o przepowiadaniu? – dociekałam.

– Tak, moim zdaniem to możliwe. Wiem, że brzmi to dziwnie, ale nie jest to pierwszy raz. Wiele udowodnionych naukowo rzeczy walczy ze zdrowym rozsądkiem. Pomyśl na przykład o fizyce kwantowej i zachowaniu cząsteczek – wyjaśnił Mitek.

– Myślę – powiedziałam z nadzieją, że mój głos wyraża sarkazm. Mitek nawet tego nie zauważył.

– Jeśli zapomnisz o herbacianych fusach, gwiazdach i kartach, przepowiadanie może mieć sens – Mitek zrobił przerwę, po czym kontynuował. – Można to zrozumieć, jeśli weźmie się pod uwagę czas jako czwarty wymiar.

– Wyjaśnij – poprosiłam.

– Wyobraź sobie, że czas nie jest strumieniem, który płynie, tylko składa się z niezliczonej liczby krótkich chwil, takich jak jedna miliardowa sekundy czy jakiejś innej miliardowej cząstki. Istnieje najmniejsza możliwa jednostka czasu, która jest niepodzielna. Nazywa się chronon, czyli kwant czasu.

Spojrzał na mnie.

– A teraz wyobraź sobie, że możliwie najkrótszy czas zawiera informację o wszystkich trzech wymiarach. Tak jakby mapa tego momentu. Za nim jest następny podobny moment, między którymi jest tylko mikroskopijna różnica. I potem następny i następny i jeszcze następny. Nanosekunda po nanosekundzie, sekunda po sekundzie, minuta po minucie, dzień po dniu. Chwile przylegają do siebie, jedna do drugiej.

– Nie rozumiem.

– No weźmy na przykład tę budę – kontynuował Mitek.

– Domek letni – poprawiłam go.

– Ten domek letni. Wyobraź sobie wszystkie chwile, w których istniał.

Narysował na papierze dom i nakładający się na niego drugi dom. I trzeci.

– Nie jest aż tak stary – zauważyłam.

– To bez znaczenia. Dla przykładu wystarczyłoby, żeby istniał pięć minut – spojrzał na mnie i ciągnął dalej. – Albo nanosekundę. Co chwilę powstaje nowy dom. A gdy położy się je na kupce, powstanie dom na mapie czasu. I w ten sposób mamy czwarty wymiar. Tak naprawdę obrazki są oczywiście w trzech wymiarach. Czas ciężko by było narysować.

– Nadal nic z tego nie rozumiem.

– Wiesz, że ten pokój ma wysokość, szerokość i długość. Jeśli chcielibyśmy wyrazić, jak wyglądał sekundę temu i jaki jest teraz, potrzebujemy dodatkowego wymiaru. Jest nim czas. Po prostu nie jesteśmy w stanie dostrzec więcej niż jednego fragmentu czasu za jednym razem, bo żyjemy w trzech wymiarach – wyjaśnił.

– Czy fragment czasu to obecna chwila? – dopytywałam.

Mitek przytaknął i pośpieszył z wyjaśnieniem.

– Wyobraź sobie dwuwymiarową istotę, która miałaby tylko szerokość i długość. Światem takich istot mógłby być na przykład blat stołu. Żyłyby sobie na nim szczęśliwe, nie mogąc dostrzec, ani nawet wyobrazić sobie wymiaru, jakim jest wysokość.

– No i?

– Jak w takim dwuwymiarowym świecie mógłby funkcjonować trójwymiarowy przedmiot? Czy widzieliby go tak samo, jak my go widzimy? – zapytał Mitek.

Potrząsnęłam głową.

– Wychodzi na to, że nie. Opowiedz o tym coś więcej – poprosiłam.

Zrobił małą przerwę i wziął do ręki pompkę rowerową, którą znalazłam wcześniej pod kanapą i zaczął przesuwając ją nad krawędzią stołu od dołu do góry.

– Jeśli zrobiłbym w stole dziurę i przepuścił przez nią taki trójwymiarowy przedmiot, dwuwymiarowe istoty dostrzegłyby tylko jego szerokość i długość. Nie wykryłyby nawet jednej trylionowej wysokości. Po prostu by jej nie widziały. Zatem w czasie, gdy ta pompka dostałaby się do ich świata, doświadczyłyby jej na swój własny sposób. Być może jako jakiegoś rodzaju okrąg z dokładnymi granicami i plastikowymi krawędziami. Mogliby na przykład ją obejść, ale nie daliby rady spojrzeć na nią z góry, bo nie byłoby takiego pojęcia, jak góra. Zajęłoby to trochę czasu, zanim dolna krawędź pompki dotarłaby do powierzchni stołu i ... – zrobił przerwę i szarpnął pompkę do góry. – ...zniknęłaby. Już by jej więcej nie było. Byłaby dla nich przeszłością. Czymś, co raz było i co wspomina się w ten sam sposób, jak ty czy ja wspominamy rzeczy, jak to miejsce wyglądało wczoraj albo godzinę temu – uśmiechnął się szeroko. – Albo przynajmniej w teorii zostałyby zapamiętane, gdyby w ich mózgach była też dwuwymiarowa kora mózgowa.

Podał mi pompkę, a ja obróciłam ją w dłoniach.

– Mimo że ty postrzegasz pompkę jako całość, dla nich istniałaby tylko w czasie.

– Czyli jeśli... – zaczęłam, ale Mitek mi przerwał.

– Jeśli wielowymiarowa istota patrzyłaby na tę pompkę gdzieś spoza naszego wszechświata, ujrzałaby znacznie więcej. Zobaczyłaby ją w tym samym czasie we wszystkich miejscach, w których pompka kiedykolwiek była lub kiedykolwiek będzie. Razem ze wszystkimi pierwiastkami, z których się składa i na które się rozłoży za miliony lat. W taki sam sposób, jak ty widzisz pompkę. Nie byłaby tylko trzymanym w ręce przyrządem, a przypominałaby bardziej smugę, która koniec końców jest wszędzie, a jej każda cząsteczka... – przerwał i spojrzał na mnie – to samo dotyczy ciebie. I mnie. I całego wszechświata – dodał.

Nie wiedziałam, co powiedzieć.

– To jest niesamowite – powiedział Mitek. W jego oczach płonęły dwa małe ogniki. –Z perspektywy czterech wymiarów wszystkie chwile istnieją wiecznie. Istnieją, ale są nieosiągalne. Tak samo, jak cała pompka nie jest osiągalna dla dwuwymiarowych istot.

Myślałam chwilę nad jego słowami. Jakby to było zobaczyć całe nasze życie w taki sam sposób, jak pompkę do roweru.

– Ciekawie byłoby móc odczuć czwarty wymiar – powiedziałam w końcu.

– Nie wydaje mi się – stwierdził Mitek.

– A to dlaczego?

– Jeśli byłabyś czterowymiarowa, wszystko działałoby się w tym samym momencie. Nie mogłabyś się poruszać, bo już byś się ruszała. Nie mogłabyś urosnąć, bo już byś rosła. Nie mogłabyś żyć, bo już byś umarła – wyjaśnił.

– Dosyć przerażająca wizja – stwierdziłam.

– Tak, zupełnie jakbyś wisiała pomiędzy zdarzeniami.

– Ale jak to wyjaśnia przepowiadanie? – dopytywałam.

– Przepowiadanie jest pamiętaniem w przód. Zazwyczaj pamiętamy do tyłu. Ale jeśli przyszłość już istnieje w czterowymiarowej czasoprzestrzeni, wtedy niektórzy ludzie byliby w stanie odbierać ją tak, jak inni odbierają przeszłość – uśmiechnął się pod nosem. – Niektórzy fizycy mówią o pamiętaniu w ten sam sposób. Nie możemy być pewni przeszłości. Trochę też przewidujemy wstecz. Mamy po prostu więcej informacji, na których opieramy nasze

przypuszczenia. Wspomnienia też są nieokreślone, są odtwarzane w momencie, gdy coś sobie przypominamy. Ale generalnie przewidujemy przeszłość lepiej niż przyszłość. Jeśli o czasie pomyślimy czterowymiarowo, nie ma on właściwego kierunku. Tak samo, jak o pompce nie możemy powiedzieć, z której strony się zaczyna. Świat fizyki jest w gruncie rzeczy dosyć osobliwy.

– Czyli jasnowidzowie naprawdę istnieją?

– To możliwe. A przynajmniej nie można tego wykluczyć. Oczywiście nie wierzę w żadną astrologię czy wróżenie z fusów. To stek bzdur. Ale możliwe, że niektórzy ludzie potrafią widzieć w czasie. W pewnym sensie. Głupio jest zaprzeczać istnieniu jakiejś rzeczy tylko dlatego, że jest pozornie sprzeczna z tym, co widzimy. Często myśli się, że istnieje tylko to, co można zobaczyć i zbadać. Ale są takie rzeczy, których nie możemy zobaczyć – stuknął pompką o blat stołu. – Poza tym widzenie rzeczy też jest względne. Pomyśl o gwiazdach. Ich światło wyruszyło w przestrzeń miliardy lat temu. Tak samo z domami sąsiadów. To, co widzisz, nie jest tym, czym naprawdę jest. To tylko światło, odbijane od powierzchni cząsteczki. Wszystko, co widzisz, już się wydarzyło – spojrział na mnie. – I ty. Ty też już mi się przydarzyłaś – dodał.

– Tak jakby nie było się w tym samym czasie – powiedziałam.

– Albo było, ale z opóźnieniem. Zdaniem każdego to ten drugi jest w przeszłości i obaj mają rację. Teraźniejszości można doświadczyć na różne sposoby.

– Wszystko, co widzę, to już przeszłość – powiedziałam cicho.

– A nawet więcej – Mitek uśmiechnął się. – Ponieważ wszystko, co już raz się wydarzyło, dzieje się zawsze. I wszystko, co wydarzy się w przyszłości w pewnym sensie już się wydarzyło. Czas w żadnym wypadku nie jest prostą sprawą. Nie ma tylko jednej obecnej chwili. Bijące od nas światło dociera na jakąś planetę, oddaloną być może miliony lat od nas. Oni nas widzą, ale gdzie my wtedy naprawdę jesteśmy?

To była nieprawdopodobna wizja.

– Gdy się o tym myśli, mózg głupieje – powiedziałam w końcu.

– Gdy się o tym myśli, można zrozumieć, że o czasie nie wiemy nic a nic – odparł.

W tamtym momencie lubiałam Mitka przeogromnie.

Podał mi pompkę i uśmiechnął się. Obróciłam ją w rękach. Była stara i zardzewiała, ale nagle stała się czymś więcej, niż zwykłym przedmiotem.

– Mianuję cię symbolem czwartego wymiaru – powiedziałam uroczystym tonem i podniosłam pompkę do góry.

– Ktoś mnie w takim razie przewidział – dodałam.

– Ktoś mógł cię przewidzieć z dłuższymi włosami niż teraz.

Musnęłam palcami po rysunku.

– Dziwne uczucie.

Mitek wzruszył ramionami.

– Wszystko ma jakieś logiczne wyjaśnienie. I ze wszystkich możliwych powodów to wydaje się drugim z najbardziej prawdopodobnych.

– A to najbardziej prawdopodobne? – zapytałam,

– Ktoś włamał się do składzika, ukrył narysowany wcześniej portret ciebie pod kanapą i zamknął składzik ponownie na klucz – odpowiedział Mitek.

– Portret, który przedstawia mnie z trochę dłuższymi włosami – dodałam.

– No tak, tak.

– Wierzysz w to? – dociekałam.

Patrzyliśmy na siebie w ciszy.

– No tak powiedziałem – odparł Mitek.

To mogła być tylko zabawa. Może to jeszcze można by było cofnąć. Zawsze się dobrze bawiliśmy rozważając wszelkie absurdy. Życie w Kopalni było tak niemiłosiernie monotonne, że oprócz wirtualnych wycieczek poza obwodnice osady, wyobraźnia była jedynym narzędziem zabicia czasu. Teorie spiskowe. Seryjni mordercy. Stalkerzy. To wszystko już przerobiliśmy wcześniej. Nie wiem, w co wtedy wierzyłam. Może myślałam, że pobawilibyśmy

się jeszcze raz. Jedna pomysłowa sztuczka zanim bym się wyprowadziła i odcięła od dawnego życia.

Tak. Może to dało się cofnąć. Ale podjęliśmy decyzję, żeby od razu następnego dnia pokazać rysunek Miimie. Po tym już nic od nas nie zależało. Jeżeli w ogóle kiedykolwiek tak było.

8.

Teraz muszę wreszcie opowiedzieć o Miimie. Jej historię zostawiłam na później, tak jak ma się w zwyczaju odwlekać sprawy przykre i nieuniknione. Nie jest mi łatwo mówić o tym, co straciłam – szczególnie jeśli wydarzyło się to w sposób, którego nie mogę naprawdę zrozumieć. Jednak moja opowieść biegnie nieubłaganie do przodu. Nie mogę już tego dłużej odkładać.

Miima była moją matką chrzestną. Tak ją w każdym razie nazywałam, mimo że oficjalnie nią nie była. Zdaniem Miimy tego zażyczyła sobie mama i według mnie to było super. Miima była rówieśniczką rodziców. Dzięki niej wiedziałam, ile lat mogliby teraz mieć. Miima była jedyną znaną mi osobą, która przyjeżdżała do Kopalni i wyjeżdżała, kiedy chciała, jakby opłaty drogowe i wizy nie istniały. Miima nigdy nie mieszkała w miasteczku, ani też za często go nie odwiedzała. A jeżeli już, to tylko po to, żeby się ze mną spotkać. Było mi przykro, że widzujemy się tak rzadko, ale jednocześnie nie mogłam wyjść z podziwu nad jej umiejętnością omijania wszystkich ograniczeń. Chciałam być taka sama.

Ze wszystkich znanych mi osób Miima była najmniej rozmowna. Zapominała swoich myśli albo nie odpowiadała na pytania. Byłam niesamowicie dociekliwa, więc jej milczenie działało mi na nerwy. A przecież tylko ją jedną mogłam podpytać. Mimo wszystko w jej milczeniu nie było nic nieuprzejmego, cisza między nami nie była krępująca. Później zrozumiałam, że mogę zapytać ją o wszystko i ufać, że odpowie mi zawsze wtedy, gdy uzna, że nie zrani mnie odpowiedzią. Miima sprawiła, że poczułam się kochana i ważna. Czasami wydawało mi się nawet, że zależy jej na mnie bardziej, niż na kimkolwiek innym. Wiedziałam, że to nie może być do końca prawda, przecież musiała mieć też własne życie. O to też pytałam niestrudzenie. *Masz przyjaciół? Mam. Spotykasz się z kimś? Od czasu do czasu. Byłaś kiedykolwiek naprawdę zakochana? Byłam. Mieszkas z tą osobą, w której jesteś zakochana? Cisza. Nie.*

Miima miała melancholijne oczy i delikatne bruzdy na czole. To połączenie sprawiało, że zawsze wyglądała na odrobinę zmartwioną. Czasami patrząc na nią, myślałam, że już w młodości wyglądała na starszą. Tak, jakby obciążała ją jakaś przygnębiająca informacja. Mimo tego jej uśmiech był pogodny, odrobinę zamknięty, ale pogodny.

Gdy Miima nie podróżowała, mieszkała w jakiejś komunie na obrzeżach miasteczka przemysłowego. Nazywała to miejsce Niebieskim Domem. Willę zajęli lata temu dzicy lokatorzy. Pokazała mi zdjęcia domu na swoim telefonie i opowiedziała o jego mieszkańcach, bez wymieniania imion. Anonimowość byłaby wpisana w regulamin tej społeczności, jeśli taki zostałby kiedykolwiek spisany. Jej mieszkańcy byli dla siebie jak rodzina, ale nie odpowiadali za siebie nawzajem. Każdy mógł u nich przemocować, jeśli tego potrzebował. Każdy mógł też tam zamieszkać. Niektórzy zostawali i wtedy musieli uczestniczyć w obowiązkach domowych: sprzątaniu, uprawianiu działki na nieużytkach za domem, szyciu kocy na cele charytatywne czy opiece nad dziećmi.

Poprosiłam Miimę, żeby zabrała mnie tam ze sobą, ale stanowczo odmówiła.

– To nie jest żadna atrakcja turystyczna, którą można podziwiać albo fotografować – powiedziała.

– A co jeśli potrzebuję pomocy? – zapytałam.

– Naprawdę potrzebujesz czy tylko udajesz, że potrzebujesz?

– Nie potrzebuję. Ale jeśli bym potrzebowała? – dopytywałam.

– Jeśli naprawdę potrzebujesz pomocy, nie wahaj się o nią poprosić.

Odgarnęła włosy z moich oczu i spojrzała na mnie jeszcze poważniej, niż zazwyczaj.

– Oczywiście. W Niebieskim Domu zawsze otrzymasz pomoc – dodała.

Czasami przez kilka miesięcy nie wiedziałam, co u Miimy. Tęskniłam za nią i często myślałam, że przepadła na dobre. Aż do czasu, gdy znowu się pojawiała. Pytała, czy chcę pójść z nią na lody. Albo czy mam ochotę zobaczyć książkę, którą dla mnie znalazła. Obejrzeć zdjęcia z zagranicznych podróży. Pograć w gry. Albo po prostu poszwędać się po lesie, odwiedzając miejsca, które nikogo w Kopalni nie obchodziły. Tak było zawsze i ja zawsze byłam chętna.

Miima musiała mieć swój powód, żeby trzymać wszystko w tajemnicy. Nie znałam nawet jej numeru telefonu. Dzwoniła do mnie albo z zastrzeżonego numeru albo ze wspólnego telefonu w Niebieskim Domu. Jeśli ja chciałam się z nią skontaktować, musiałam dzwonić właśnie na ten numer. Nie czułam się przy tym zbyt komfortowo, bo mógł odebrać ktokolwiek. Miima powiedziała, że tak będzie lepiej. *Ależ jesteś ciekawska. Uczepiłaś się mnie, jak rzep psiego ogona!*

Jeśli byłam sfrustrowana jej obojętnością albo nawet wściekła, to i tak nic nie zmieniała. Miima była irytująco szczerą i powiedziała, że żadne moje dąsy nie wpłyną na to, co będzie robić, a czego nie.

– Jeszcze nadejdzie czas – powiedziała, – bądźże cierpliwa. To było jedno z jej najbardziej irytujących i enigmatycznych powiedzeń.

Oczywiście, że jej nie wierzyłam. Parę razy będąc z dziadkiem w miasteczku przemysłowym, zajrzałam do biblioteki publicznej, gdzie wpisałam do przeglądarki imię Miima i nazwę Niebieski Dom. Znalazłam informację o domu, ale internet milczał na temat Miimy. Koniec końców nie wiedziałam o niej niczego.

– Niepotrzebnie mnie śledzisz – powiedziała Miima, jakby zgadła, co robię. – Nie zrobiłam nic szczególnego, po czym mogłyby zostać ślady w wirtualnym świecie – mówiąc to, nie wyglądała na zgorzkniałą. Ta kwestia wydawała się jej obojętna. – Może dopiero w przyszłości uda mi się dokonać czegoś znaczącego – powiedziała, śmiejąc się. – Tak naprawdę moje życie dopiero się zaczyna. Nie jestem tak stara, jak ci się wydaje.

Nie powiedziałabym, że Miima była przesadnie stara. Ona po prostu zawsze tu była. Nie pamiętałam czasów “przed Miimą”.

– Ja jestem częścią twojego życia, a ty mojego – powiedziała, – niektórzy ludzie uważają jednak, że nie jest dobrze, abyśmy miały ze sobą tak dużo wspólnego.

Wydawało się, że Miima wzięła na siebie obowiązek przedstawienia wszystkich historii i miejsc, które dziadek chciał utrzymać w tajemnicy. Być może to dlatego nie przepadał za Miimą. Nie tyle, że jej nie lubił, ale nawet nie chciał o niej słyszeć, co nie było w dziadka stylu. Nie zwracałam tym sobie szczególnie głowy, była to dla mnie bardziej kwestia relacji międzyludzkich: dziadek i Miima należeli do dwóch różnych światów.

Spotykałyśmy się w tajemnicy. Miima tak wiele razy zabroniła mi opowiadać o naszych spotkaniach, że przywykłam do siedzenia cicho. Nie robiłyśmy zresztą nic niezwykłego. Chodziłyśmy na spacer, rozmawiałyśmy, czasami odpytywała mnie na kartkówkę ze słówek, a innym razem grałyśmy w Uno. Było tak, jakbyśmy miały spędzić w swoim towarzystwie jakiś określony czas. Kiedy dziadek o coś dopytywał, mówiłam, że jestem sama. Albo z Mitkiem.

Tak naprawdę Mitek dość często nam towarzyszył, co było życzeniem Miimy. Chyba go nawet lubiła. Dbaj o swojego przyjaciela, przypominała od czasu do czasu, co nawet mnie dość dziwiło. Nie mogłam pojąć, czemu Mitek potrzebowałby opieki, skoro jak mało kto świetnie radził sobie sam. Nieważne, pomyślałam. I Mitek wyczekiwał spotkań z Miimą tak bardzo jak ja.

Oprócz miejsca wypadku drugim zakazanym miejscem było sztuczne jezioro. Chodziliśmy tam latem i tylko z jednego powodu: Miima chciała nauczyć nas pływać. Sztuczne jezioro, jak sama nazwa wskazuje, nie było prawdziwym jeziorem. Nie miało nawet własnej nazwy. Nie było duże, ani bardzo głębokie, ot taki zbiornik na wodę. Krew Kopalni, mawiał Przywódca w swoich przemówieniach. Płyn życia, który krąży w czeluściach skały i odżywia ziemię, jak w ludzkim ciele. Albo zlew, mawiała Miima. Jej zdaniem woda ze sztucznego jeziora wpływała prosto do kanalizacji.

Brzeg nie był zbyt przyjazny, gdyż sztuczne jezioro nie było przeznaczone do pływania. Żadnego piasku, kamieni, ani nawet błota. Można to sobie wyobrazić w ten sposób, że ziemia się kończy, a zaczyna woda. Trochę, jakby bagno przejęło ziemię. Właśnie tam pływaliśmy. Miima zabierała nas tam zarówno przy dobrej pogodzie, jak i w kiepskich warunkach. Robienie rzeczy, na które dziadek by nigdy nie wyraził zgody, było na początku ekscytujące. Nie wspominając nawet o rodzicach Mitka, którzy też nie byłiby zachwyceni. Z czasem już się do tego przyzwyczailiśmy, aż w końcu stało się to naszą potrzebą. Miima lubiła pływać. Właściwie to więcej niż lubiła. Wydawało się, że ma na tym punkcie obsesję. Zauważyliśmy to, ale nie zaprzataliśmy sobie tym głowy. Miima chciała, żebyśmy nauczyli się pływać tak dobrze, jak ona. Zrobiliśmy to, żeby sprawić jej przyjemność.

W tym czasie oboje mieliśmy mniej niż dziesięć lat. Mali i lekkomyślni. Mitek nie cierpiał wody. Naczytał się, że od chemikaliów, chloru i innych niepożądanych substancji znajdujących się w wodzie, można dostać wysypki. Ledwo zgadzał się wejść pod prysznic. Miima wyjaśniła mu, że woda w sztucznym jeziorze jest czystsza, niż jakakolwiek inna woda w Kopalni. Nie

wpłynęła jeszcze do wnętrza skały, więc nie była zanieczyszczona. Pochodziła z innego miejsca. – Woda pochodzi z innego miejsca – zaakcentowała Miima. Jej zdaniem nie było w tym nic przerażającego.

Faktycznie nie było i w końcu nauczyliśmy się pływać. Najpierw ja, a potem Mitek. Miima nauczyła go, żeby skupiać się na każdym ruchu, na każdym mięśniu i na każdej pozycji osobno. Mitek był więc świadomy każdego ruchu, podczas gdy wielu osobom umiejętności przychodzą automatycznie. W końcu przegonił i mnie. Kiedy mieliśmy po dwanaście lat, urządziliśmy na sztucznym jeziorze wyścig i już w połowie mnie wyprzedził. Potem zaczęliśmy też chodzić pływać tylko we dwójkę.

Gdy opanowaliśmy sztukę utrzymywania się na wodzie, Miima nauczyła nas nurkować. Powiedziała, że umiejętność pływania pod wodą jest równie ważna albo nawet ważniejsza, niż utrzymywanie się na powierzchni. Trzeba było nauczyć się myśleć trójwymiarowo jak ryba. Nurkowaliśmy z otwartymi oczami. Nauczyliśmy się wstrzymywać oddech i zachowywać spokój. Miima twierdziła, że to najważniejsze. Że nie ma nic gorszego, niż wpadnięcie pod wodą w panikę. Jeśli panikujesz, serce zaczyna bić szybciej i potrzeba więcej tlenu. Najgorzej, jeśli woda dostanie się do płuc. Opanowany nurek może spowolnić rytm bicia własnego serca. Dzięki temu jest w stanie wytrzymać pod wodą wiele minut bez utraty przytomności.

Mitek zanurkował najgłębiej, zwyciężając tym samym w naszych nieoficjalnych zawodach i ustanawiając niepisany rekord. Cztery minuty. Przeczytał wszystko, co wpadło w jego ręce na temat funkcjonowania autonomicznego układu nerwowego. Po wejściu do wody zamieniał się w kogoś innego. Podnosił rękę do góry i zanurzał się w wodzie jak rakieta.

Nie rozmawialiśmy z Miimą o przyszłości ani mojej, ani jej. Wydawało mi się, że takie sprawy w ogóle jej nie interesują. A kiedy podziękowałam Miimie za pomoc i za to, że nas nauczyła, ona tylko zaśmiała się i machnęła ręką. – Sami się wszystkiego nauczyliście, ja tylko pomogłam.

